

Podczas burzy.

...Ulewa spadła na las. Zaskoczony zniecka burza, pobiegłem ku osobliwemu domostwu, którego kontury rysowały się poprzez płynną mgłę. W chwili później kołatałem do spróchniałych drzwi. Echo mych uderzeń rozbrzmiewało długo po lesie. Deszcz wzmagał się. Przylepiony niemal do budynku, zastukałem powtórnie. Drzwi otworzyły się wreszcie i gospodarz zagrody stanął przede mną. Był to mężczyzna nieokreślonego wieku, o bladej i kościstej twarzy, niezwykle małego wzrostu, trzymający się pochyło, co wydawało się jeszcze jego karłowatość. W obliczu jego o twardych rysach i cierpiącym wyrazie, dwoje przenikających oczu, osadzonych pod gęstymi brwiami, przesyłało mnie nawłot. W spojrzeniu przebiła nieufność, podejrzenie.

W kilku słowach prosiłem o chwilową gościnę. Mężczyzna zawahał się narazie, poczem usunął mi się z drogi. Wszedłem do obszernej izby; polyskujące ściany zdradzały niezdrową wilgoć; na kominku głośno żółto-czerwony ogień z bierwion. Z nieukrywanym zadowoleniem zbliżyłem się do płomienia.

Mężczyzna usiadł ciężko na ławce i jak gdyby zapomniał o mnie.

Nagle, drgnąłem na odgłos bolesnego jakiegoś jęku, który obił mi się o uszy. Chciałem odezwać się, prosić o wyjaśnienie, lecz gospodarz mój spojrzał mi w oczy tak ponuro i groźnie, że słowa zamarły mi na ustach.

Noc zapadła. Dziwny mój towarzysz wstał i powłócząc nogami podszedł do kominka. Jedną ze drugą zapalił świece w lichtarzach. Podniosłem się z krzesła, zdejmowany uciec od niepokojącej atmosfery tego domu, lecz gospodarz rzekł:

— Nie mogę wyprowadzić pana na taką pogodę; nie znalazłbyś zresztą drogi swej w ciemnościach. Proszę tedy za mną.

Weszliśmy na piętro. Przewodnik mój wprowadził mnie do niedużego pokoju i odchodząc powiedział:

— Pójdę poszukać jakiegoś posiłku dla pana.

Znajdowałem się w pokoju, umeblowanym prymitywnie i skąpo. Okno, zabarykadowane dwiema grubymi żelaznymi sztabami, wychodziło na las. Miejscość tchnęła pustką i niewypowiedzianym smutkiem.

Wtem, zasłyszany już jęk, do bolesnej skargi podobny, rozległ się ponownie, bliższy tym razem. Instynktownie zamierzając pójść w kierunku żalostnego głosu, gdy drzwi się otworzyły i gospodarz wszedł do pokoju. Utkwiwszy przenikliwy wzrok we mnie, postawił w milczeniu lekką kolumnę na stole i zawrócił ku drzwiom.

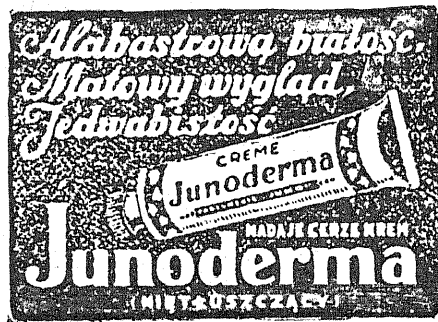
Nim znikł za nimi, stanął twarzą do mnie. Spuściłem oczy przed groźbą, płonąca w jego wzroku.

— W pańskim interesie — odezwał się wolno i dobitnie — zalecam panu nie wy-

chodzić z tego pokoju i opuściwszy jutro swój dom, zapomnieć o wrażeniach doznanych w nim.

Po tych słowach zostawił mnie samego. Przekonawszy się po jego odejściu, czy nie jestem zamknięty przypadkiem, uchyliłem cicho drzwi, nasłuchując pilnie, poczem zrobiłem kilka kroków w ciemnym korytarzu. Wtem, tuż obok mnie rozległ się ten sam, znany mi już jęk bolesny. Skierowałem się w stronę, skąd mię dochodził i unaczając ręką, natrafiłem na drzwi. Zamierzając wszelkiej ostrożności, zapaliłem zapałkę, w świetle której ujrzałem niewielki otwór okienny, wycięty w futrynie drzwi i szczelnie zakryty drewnianą deszczułką. Uchyliłem ją ostrożnie i ogarnąłem wzrokiem słabo oświetloną izbę.

Jednocześnie jednak uczułem serce w gardle; ktoś bowiem wchodził na schody; zaledwie zdążyłem zakryć otwór deszczułką i jednym skokiem schować się w zakęcie ciemnego korytarza. Przylepiony do ściany, czekałem z zapartym oddechem. Blask latarki zatańczył u moich nóg; rozległ się zgrzyt otwieranego zamka, okrzyk przerażenia i suchy odgłos zamykanych drzwi.



Skradając się na palcach, podszedłem znów do okienka, uchyliłem ostrożnie deszczułkę i ujrzałem rzecz straszną: gospodarz mój, pochylony nad ogniem w kominku, trzymał w ręku żelazny pręt, którego ostry koniec tkwił w rozżarzonych węglach. W jednym z kątów izby, mężczyzna, skuty łańcuchami, siedział skulony na podłodze, śledząc wysadzonemi z orbit oczyma ruchy gospodarza. Od drżenia jego członków łańcuch dzwonił bezustannie. Poprzez podarte gałgany wyglądało ciało jego do szkieletu podobne. Gdzieś niedaleko brudna, zakrwawiona bielizna niedostatecznie kryła straszne rany.

Wtem nieszczęśliwy zawył ludzkim głosem; kat jego bowiem zbliżał się doń powoli z żelazną sztabą, której rozpalone do białości ostrze rzucało blade, złowrogi światło na mroczną izbę.

Nie panując nad oburzeniem nacisnąłem klamkę drzwi i wpadłem do pokoju tortur. Gospodarz ryknął rozwścieczony i rzucił się na mnie. Rozpalone żelazo upadło na podłogę. Ciśnięty z olbrzymią siłą w kąt, uderzyłem, padając, głową o kant stołu. Obezwładniony w ten sposób, okrutnik podszedł do skutego nędzarza, wołając zdławionym głosem:

— Nie ujdiesz mi, bandyto! Nie będziesz wolny! Musisz umrzeć, skoro obec-

ność twoją wykryto! Głi, morderco!

Pod żelaznemi jego palcami, zaciśniętymi wokół szyi delikwenta, ten zacharzał kilkakrotnie i ścichł niebawem.

Straciłem przytomność.

— Odzyskałem ją na łóżku szpitalnym. Obandażowana głowa bolała mnie silnie. Pielęgniarka, pochylona nade mną, pytała troskliwie:

— Bardzo pan cierpi?

— Dostyc! — odparłem.

— Może pan udzielić pewnych informacji komisarzowi policji?

— Owszem.

Opowiedziałem mu pokrótce moją dziwną i straszną przygodę.

— Pański napastnik — objaśnił mnie komisarz — sam zajął się umieszczeniem pana w szpitalu. Od niego wiemy o wszystkim. Dowiesz się pan całej prawdy, jak będziesz silniejszy.

Zaintrygowany do najwyższego stopnia, upewniłem, że dobrze się czuję, wobec czego komisarz policji opowiedział mi wypadek, którego byłem dziwnym zbiegiem okoliczności epilogiem.

Przed dziesięciu laty, pewnej burzliwej nocy znani i poszukiwani oddawna przez władze policyjne bandyci, napadli na willę, w której wypadło mi na skutek ulewy spędzić kilka strasznych godzin. Wyłamawszy drzwi, dostali się po schodach do pokoju, w którym gospodyni z dwojgiem dzieci spała snem sprawiedliwych. Niem nieszczęsne ofiary krzyknąć zdołały, zaduszono je na śmierć. W sąsiednim pokoju spał ojciec rodziny — gospodarz. Zbudzony ze snu zniecka, zdążył dać ognia i położył trupem jednego ze złooczyńców. Reszta w popłochu uciekła. Zaalarmowani żandarmi, otoczywszy las, pojmali niebawem dwóch bandytów, pewni, że szajkę stanowiło trio.

Boleść i rozpacz osieroconego ojca rodziny nie da się opisać. Samotny odtąd w swym milczącym domu, prowadził życie dzikiego odludka, unikając towarzystwa ludzi i ich pogodnych twarzy. Któż mógł spodziewać się, że czwarty bandyta należał do szajki, która zamordowała mu żonę i dzieci? Dwa aresztowani bowiem, przypuszczając, że udało mu się uciec, nie wydali współnika, który wpadł w ręce gospodarza. Nędzarz skuty łańcuchem był tym właśnie czwartym bandytą i okropne tortury, których o mały włos nie byłem świadkiem, miały miejsce co wiec zora od lat dziesięciu. Przez całe dziesięć lat morderca był żywcem palony rozżarzonem ostrzem żelaznej sztaby przez bezlitosnego mściciela rodziny.

— Nieszczęśliwy ten — dodał komisarz na zakończenie — zadusił mordercę żony swej i dzieci w obawie, że wykrytego przez pana odbiorą mu go. Ostatnie to wstrząśnienie jednakże było zbyt silne dla jego nadwyreżonego już mózgu i resztę dni swego życia spędzić mu wypadnie w zakładzie dla obłąkanych.

Tłum. Jotsaw.



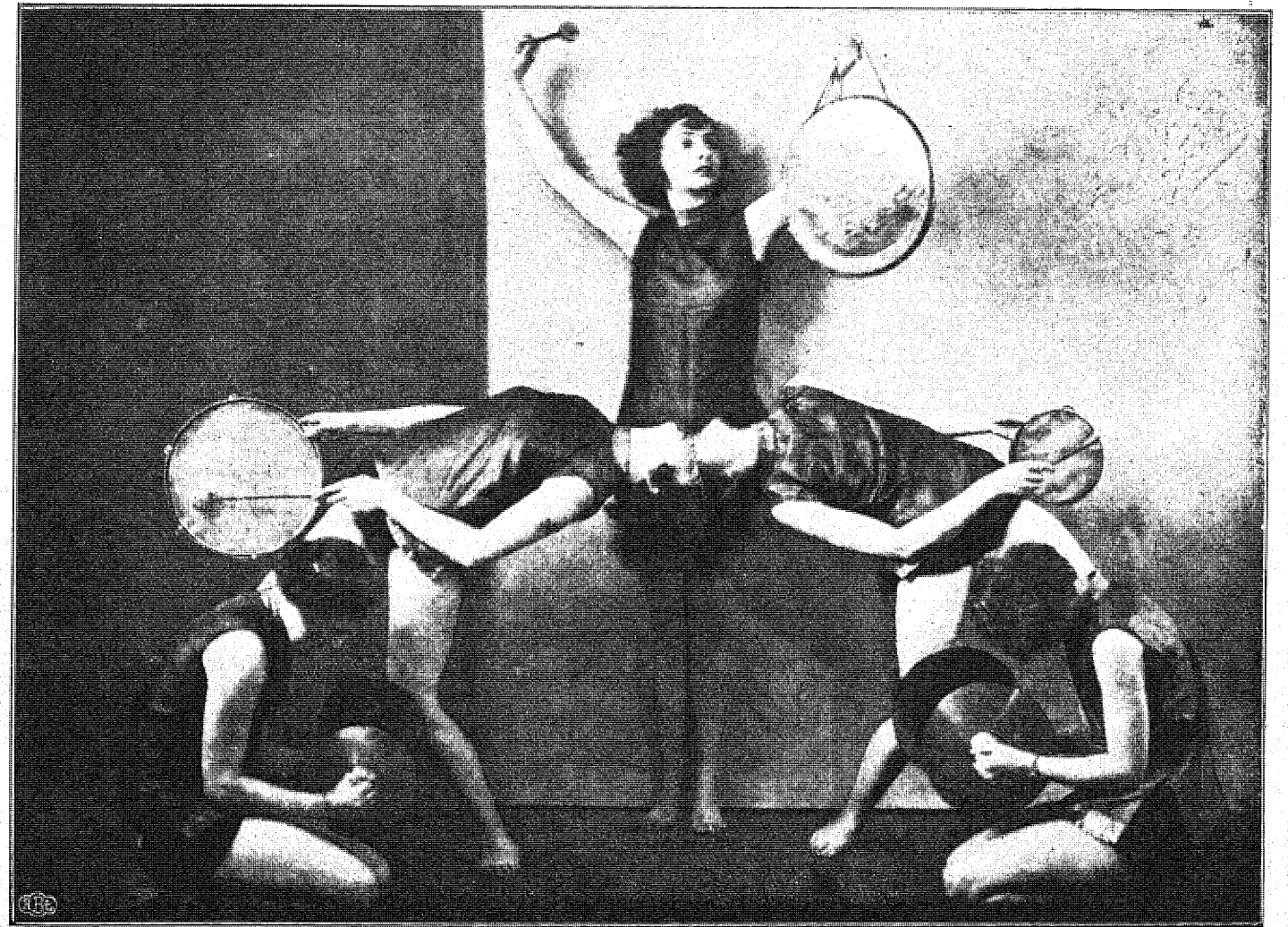
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

ROK VI.

Niedziela, dnia 28 kwietnia 1929 roku.

Nr. 17.

Kult piękna i rytmu.



Znana w Łodzi szkoła plastyki p. Stefani Paszkówny zdobyła na konkursie tanecznym w Warszawie w dniu 14 kwietnia r. b. drugą nagrodę za pięknie odtworzone tańce plastyczne.

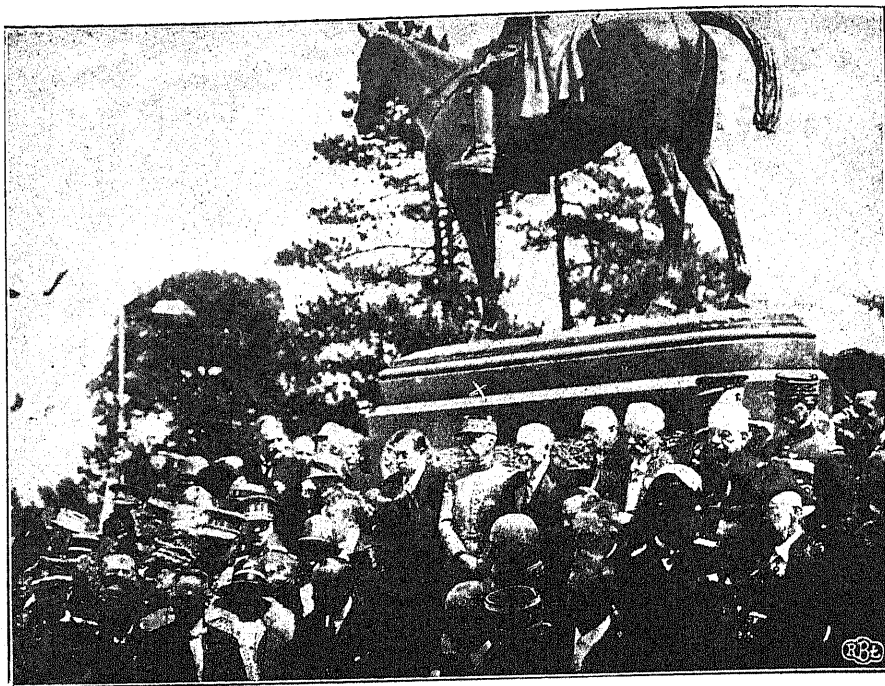
Na zdjęciu powyższem widzimy uczennice szkoły tej w tańcu, będącym uzmysłowieniem harmonii ruchu, dźwięku i barwy.

TEATRALIA

„Małżeństwa zawiera się w niebie”. — Prawdziwy dramat polskiego robotnika. — Ciekawy spór. — Drobiazgi teatralne.

Najsensacyjniejszą sztuką bieżącego sezonu teatralnego jest niewątpliwie komedia Waltera Hasenclevera p. t. „Małżeństwa zawiera się w niebie”, która — narobiwszy wiele hałasu w Berlinie i innych miastach niemieckich — oparła się następnie o Wiedeń, ale tu, na skutek protestu sfer katolickich, została wycofana, jeszcze przed premierą, z repertuaru (w Josefstädter Theater). Sztuka Hasenclevera jest istotnie drażliwa, nie w tendencji bynajmniej, lecz w pomysłach samym; osią komedji jest — motyw zwykły: komplikacje w rozwiązaniu trójkąta małżeńskiego, kobiety i dwóch mężczyzn; akcja jednak rozgrywa się częściowo — w niebie, a Bóg-Ojciec i św. Piotr należą m. in. do osób występujących na scenie. Satyra autora na stosunki ziemskie, ludzkie, erotyczne jest wcale dowcipna i udana; wspomniane jednak nadzwyczajności sztuki muszą czynić ją niemilą i niedopuszczalną dla publiczności, której wrażliwość religijna jest żywa i nieustępliwą.

A propos „Małżeństw” godzi się powiedzieć kilka słów o przeszłości autorskiej Hasenclevera, który zaczawszy od patronowania kierunkom krańcowego ekspresjonizmu — kończy (?) obecnie pisaniem fars i lekkich komedji. W swojej rozprawie o „Teatrze jutrzejszym”, napisanej w zaraniu pracy pisarskiej Hasenclever wystąpił bardzo słusznie przeciwko przewadze reżysera w teatrze, choć jednocześnie, z daleko już mniejszą konsekwencją, spostonował aktora, jako czynnik niemal bezużyteczny. Do pierwszych sztuk Hasenclevera należą: „Syn”, który miał być krzykiem protestu młodych przeciwko władzy starego pokolenia; pacyfistyczna transkrypcja „Antygony”, wystawiona u Reinhardta; wreszcie — pełne dziwactw i nonsensów — „Ludzie” i w formie filmu utrzymana „Zaraza”. Piętno większej dojrzałości artystycznej i poetyckiego polotu posiadają „Zaświaty” („Jenseits”), grane przed kilku laty w Łodzi, w bardzo dobrej, kameralnej obsadzie. W ostatnich latach teatralny rewolucjonista i eksperymentator przerobił na scenę „Gobsecka” Bálzaca, a następnie, biorąc rozbrat z górną i ohumną literacką przeszłością, zasiadł do farsowej produkcji, której zapoczątkowaniem była grana w r. ub. lekka komedjka p. t. „Lepszy gość”. „Małżeństwa” idą również po tej linii farsowej, a przeszłyby zapewne bez większego wrażenia, gdyby nie owe wspomniane wyżej



Zmarły w ubiegłym miesiącu Marszałek trzech wielkich narodów Francji, Polski i Anglii, zwycięski wódz, generał Ferdynand Foch (+) u stóp własnego pomnika w Paryżu w dniu jego odsłonięcia roku 1928-go. Fot. A. Mayer.

pomysł „niebiańskie”. Jakkolwiek bądź ocenialibyśmy ewolucję twórczości Hasenclevera, należy jednak przyznać, że zśród młodej generacji niemieckiej wyróżnia się on nieprzeciętną, bujną, oryginalną indywidualnością, o której kwalifikacjach pisarskich mówi bardzo zdecydowanie zwłaszcza pierwszy okres twórczości autora „Zaświatów”. W Polsce Hasenclever jest znany bardzo mało. Prócz wystawienia „Jenseits” w Łodzi — grono amatorów zagrało tu niedawno w Krakowie „Ludzi” w bardzo niezwykłej inscenizacji; ta druga jednak próba skończyła się zupełnym niepowodzeniem.

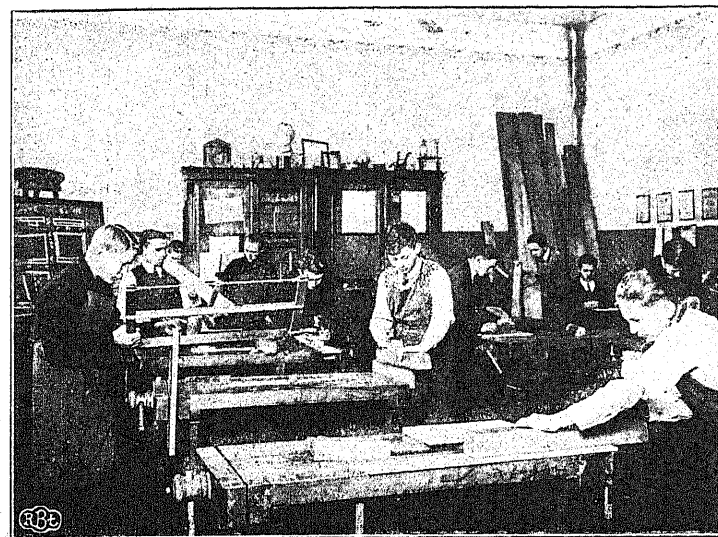
P. Eleonora Kalkowska, polska dziennikarka w Berlinie, wystawiła w tamtejszym teatrze „Volksbühne” sztukę p. t. „Józef”, zaczerpniętą w treści z prawdziwej historii niewinnie straconego robotnika polskiego, Józefa Jakubowskiego. Sztuka, prawdę powiedziawszy, nie posiada głębszych zalet artystycznych, o co zresztą autorka się nie ubiegała. Według niej samej, „Józef” ma należeć do kategorii t. zw. poetyzowanej reporterki, której zadaniem jest pobudzać wrażliwość publiczności w stosunku do pewnych aktualnych spraw i zagadnień. Taką aktualną i sensacyjną sprawą była, właśnie m. in. zbrodnia dokonana przez „sprawiedliwość” niemiecką na Jakubowskim. Autorce chodzi więc o ukazanie prawdy w sposób scenicznie wyrazisty, o wywołanie współczucia dla ofiary i potępienia w stosunku do winowajców zbrodni.

Przed sądem paryskim rozegrał się niedawno spór pomiędzy pp. Courteline i Marches a Veber i Heure, z których pierwszy zarzucał drugiemu plagiat literacki w sztuce p. t. „En Bordee”. Sąd jednak oddalił po-

wódzwo pp. Courteline'a i Marches'a, a wyrok swój umotywował m. in. takimi oto głębszymi przesłankami: „Zważywszy, że w dziedzinie myśli idea pozostaje wiecznie wolna i międy nie może się stać przedmiotem wyłącznej własności, że podlega przywłaszczeniu jedynie forma oryginalna i nowa, w jaką ją pisarz ubierze; że zwłaszcza, gdy idzie o sztukę teatralną, autor nie zdoła wykazać, jako swojego, tematu, który każdy ma możliwość po nim podjąć, byle nie zapożyczał od swojego poprzednika ani jego planu, ani jego postaci w tem, co stanowi ich charakterystyczność, ani jego dialogu, ani tych wszystkich elementów, które w sztuce tworzą nowość i stają się podstawą własności wyłącznej... itd., itd — sąd zmuszony jest pozostawić skargę bez uwzględnienia. Wyrok paryski w sprawie pp. Courteline'a i Vebera oraz ich współpracowników stanie się z pewnością poważnym precedensem w orzecznictwie sądów francuskich co do kwestyj literatury i teatru.

W jednym z teatrów medjołańskich wystawiono sztukę p. t. „Szara suknia”, której autorką jest p. hr. Bethlen, żona węgierskiego prezydenta ministrów. Sztukę przyjęło zycielnie, zaś prasa podkreśliła jej walory poetyckie i psychologiczne.

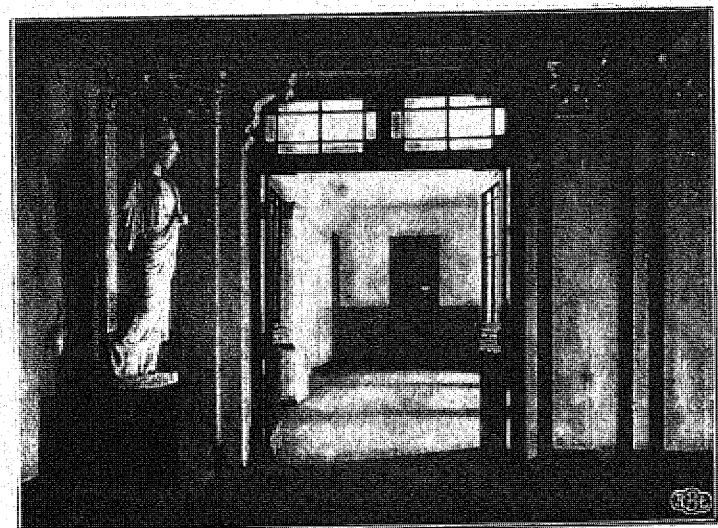
Na miejsce spalonego przed kilku laty budynku, odbudowano w Sofiji gmach Teatru Narodowego, który prócz innych udogodnień technicznych posiadać będzie scenę obrotową, jedyną w południowo-wschodniej Europie. Inauguracja Teatru Narodowego odbyła się z wielką pompą, w obecności dworu królewskiego, dyplomacji itd. zaś wystawiono na pierwsze przedstawienie sztukę wielkiego pisarza bułgarskiego — Petka Todorowa. **Delta.**



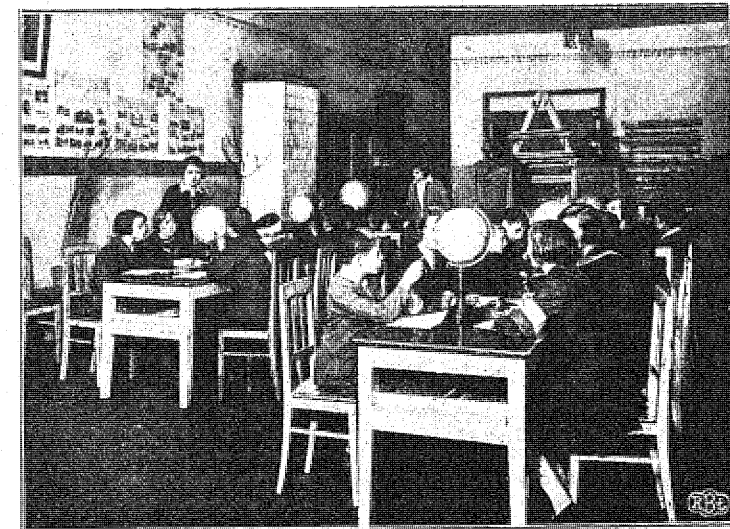
Uczniowie Seminarjum Miejskiego przy zajęciach praktycznych w warsztacie stolarskim.



Czytelnia miejska przy szkole powszechnej im. J. Piłsudskiego, przy ul. Zagajnikowej. Powyżej młodzież przy lekturze.



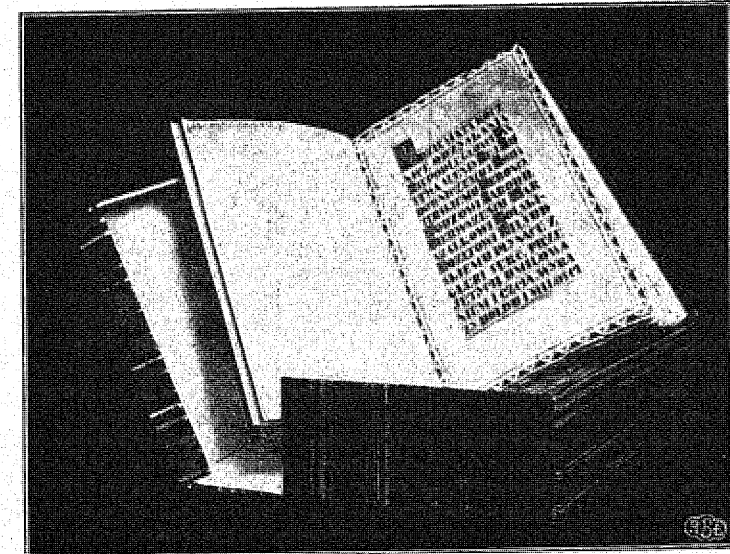
Korytarz Miejskiego Gimnazjum im. J. Piłsudskiego w Łodzi, przy ul. Sienkiewicza. Fot. A. Mayer.



Miejska Szkoła Pracy przy ul. Piotrkowskiej 115. Uczniowie i uczniowie przy nauce.



Biblioteka miejska przy ul. Andrzeja. Na zdjęciu powyższym oddział biblioteki — kartoteka. Fot. A. Mayer.



Księga pamiątkowa instytucji państwowych i społecznych województwa łódzkiego, wręczona Marszałkowi Piłsudskiemu w dniu 19 marca r. b. w Belwederze.



Znana miłośnikom filmu urocza bohaterka obrazu p. n. „Matka czy córka”, czyli „Szalona hrabianka”, Dina Gralla w jednym z filmów, którego fragment podajemy powyżej.



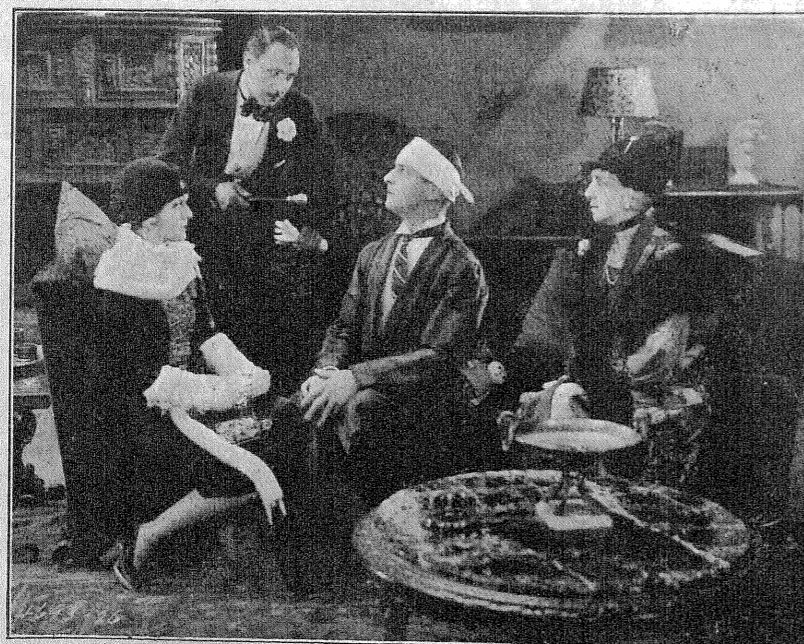
Scena z najnowszej komedji p. n. „Wszystko z miłości”... W filmie tym wystąpią Dorothea Guiller i Reginald Denny.



Lewis Stone, Marcelina Day i Malcolm Gregor w filmie „Siódme morderstwo”.



Jednym z fascynujących filmów, jakie obiegły srebrny ekran świata był „Strzał o północy”. W obrazie tym w roli głównej występował bohater-ki Thomas Meighan, którego podobiznę widzimy na powyższej ilustracji.



Reginald Denny oraz sympatyczna Barbara Kent w komedji p. n. „Nieznany ojciec”.



J. Crawford i James Murray w najnowszym filmie p. n. „Kwiat gór”.



Scena z filmu „Arystokratyczna modelka”, w którym popisową rolę kobiecą odtwarza nasza rodaczka, Hela Moja.



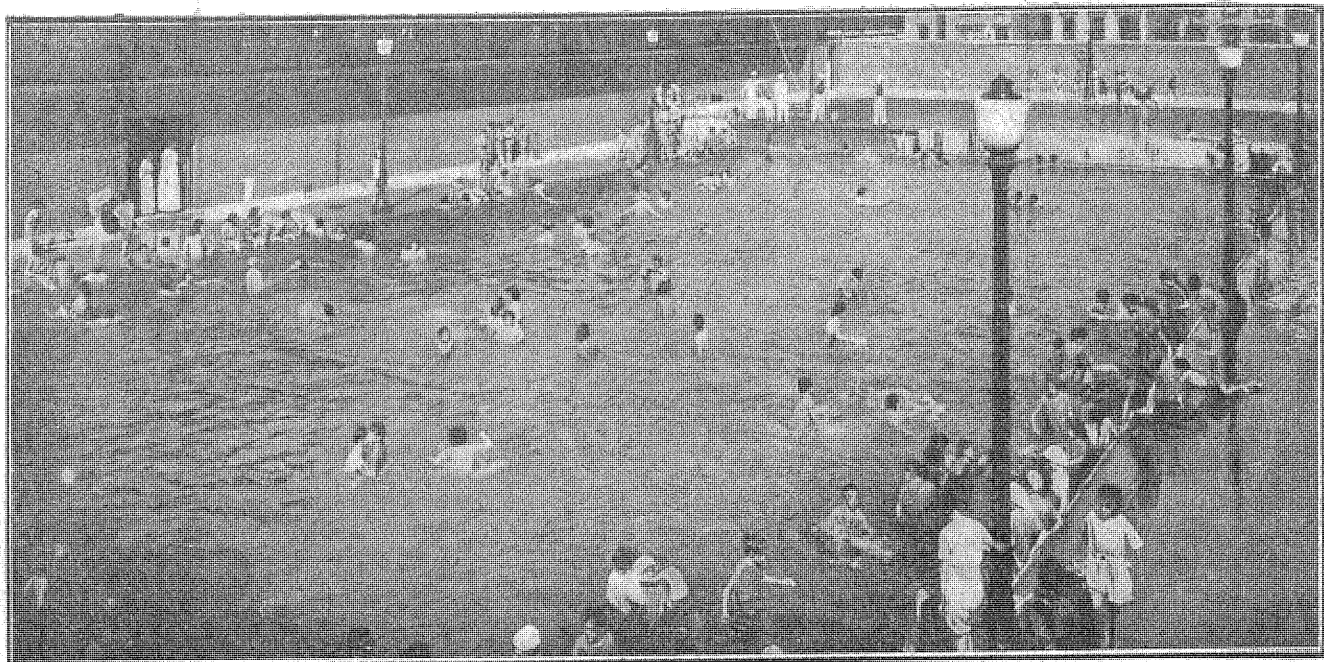
Znakomity tragik ekranu, Paweł Wegener, jako „Ramper”.



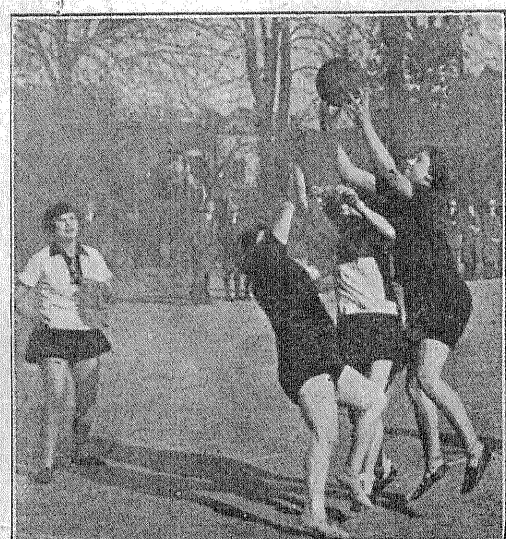
Urocza artystka filmowa, warszawianka, Hela Moja.



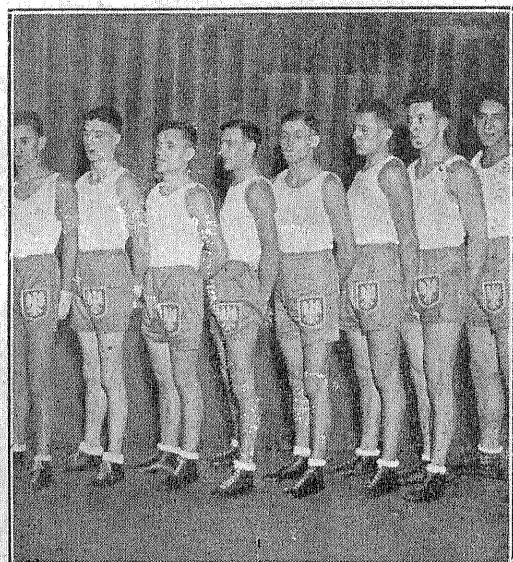
Bebe Daniels i James Hall w filmie p. n. „Córka Zorry”, będącym parodią obrazu z Fairbanksem.



Jedna z wzorowych pływalń amerykańskich.



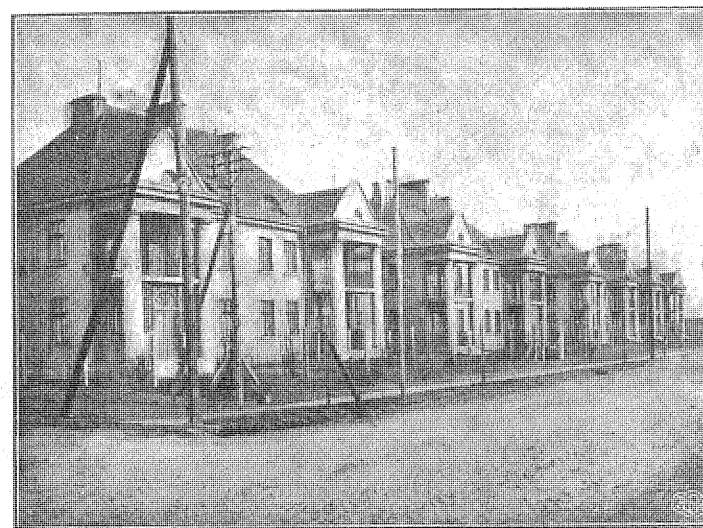
Moment z gry hazeny.



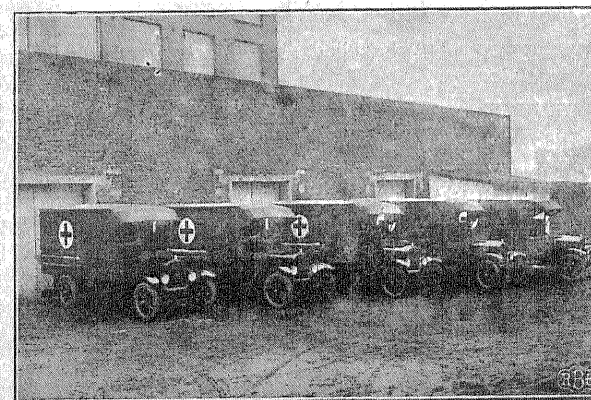
Reprezentacja bokserska Polski z łodzianinem Seidlem.



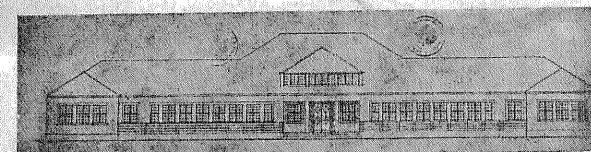
Mali łyżwiarze przed niedawnym czasem tak zabawiali się na lodzie.



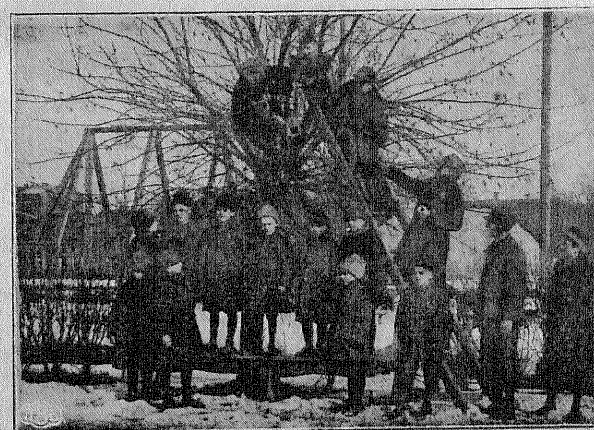
W ostatnich latach przybyło Łodzi wiele nowych budynków, a szczególnie zlorowych, specjalnie budowanych domków zwanych kolonjami mieszkalnemi, a więc kolonje urzędników skarbowych, kolonje oficerów i kolonje robotnicze. Powyżej widzimy kompleks budynków tworzących kolonje oficerską przy ulicy Zagajnikowej, w pobliżu parku 3-go Maja.



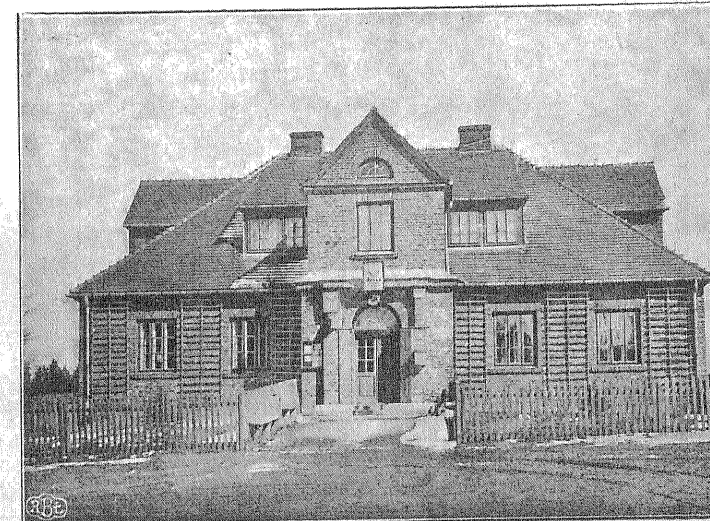
Polski Czerwony Krzyż w Łodzi święci dziś 10-lecie swego istnienia. Powyżej widzimy pluton sanitarek Polskiego Czerwonego Krzyża okręgu łódzkiego.



Elewacja szpitala Polskiego Czerwonego Krzyża w Niotowie powiatu brzezińskiego.



Zakładanie gniazd przez Koło Młodzieży Czerwonego Krzyża w Radomsku.



Nowy budynek, będący siedzibą urzędu gminy Czarnocin. Powyżej fragment budynku.



Zespół graczy drużyny piłkarskiej W. K. S., która odniosła ostatnio zwycięstwo nad drużyną Ł. T. S. G. w Łodzi. Fot. A. Mayer.

Dlaczego?...

W ostatnich latach ubiegłego wieku pracowałem w charakterze sprzedawcy u M. Gaucherot'a, wielkiego jubilera z ulicy de la Paix. Miałem wówczas lat 25 i nie wymagając wiele od życia, czułem się szczęśliwym. Zawód mój podobał mi się, a czytając dużo, czyniłem zadość posmakowi, jaki miałem zawsze dla literatury. Rzecz nie bez znaczenia dla urzędnika przytem: byłem w doskonałych stosunkach z moim pryncypałem.

Owego ranka gdy przyszedłem do magazynu, oznajmiono mi, że M. Gaucherot czeka na mnie w swoim gabinecie. Niepokojny trochę, jakkolwiek nie miałem nic na sumieniu, udałem się niezwłocznie do niego. M. Gaucherot przystąpił swoim zwyciężajem natychmiast do rzeczy:

— Muszę przedewszystkiem zapytać cię kochany Gastonie, czy rozporządzasz zupełnie swym czasem i swą osobą?

— Tak jest, panie Gaucherot; za wyjątkiem godzin, w których jestem na pańskie usługi.

— Doskonale. Idę dalej w takim razie; znasz chyba pamięć Santa-Anna, nasza stała klientkę?

— Tę starą damę, dawną kokotę, która ma takie wspaniałe klejnoty?

— Właśnie. Otóż pani Santa-Anna przysłała wczoraj do mnie nad wyraz wzburzona. Zginała jej bowiem jeden z najcenniejszych naszyjników z pereł i brylantów i jest przekonana, że został skradziony. Podejrzuje o to swą lektorke,

— Owszem, przypominam sobie tę ekscentryczną nieco osobę o typie cygańskim.

— Otóż panna Maritza opuściła onegdaj panią Santa-Anna nagle pod pozorem nieodzownego wyjazdu do Normandji, gdzie ma podobno mały majątek rodzinny. Wczoraj zaś pani Santa-Anna zauważyła brak naszyjnika w szkatułce. Biorąc pod uwagę pewne osobliwości w sposobie życia panny Maritzy, klientka nasza czuje się uprawnioną niejako do podejrzenia jej o przywłaszczenie sobie klejnotu. Nie chciałyby jednak ścigać panienki policja; znała bowiem dobrze ongiś ojca jej, słynnego rzeźbiarza; panna Maritza ma przytem sporo zalet, nie pozwalających pani Santa-Anna postąpić z nią brutalnie. Przysłała tedy do mnie prośbę; ja zaś, zastanawiając się nad tą sprawą w nocy, pomyślałem o tobie.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, panie Gaucherot, ale co ja mogę pomóc panu w danym wypadku?

— Mógłbyś pojechać wślada za panną Maritza...

— Dokąd, gdzie, jak?... — zawołałem zdumiony.

— Lubię tę zapalczywość młodzieńca... Mająceczek panienki leży w pobliżu wioski Lyons-la-Forêt przy stacji kolejowej Pont-de-l-Arche. Udaj się tam; zamieszkał w hotelu, czy gospodzie; postaraj się zapoznać z panną Maritza; wymyśl jakąś prawdopo-

dobną historję dla upozorowania twego pobytu w tej okolicy, a że jesteś ładnym chłopcem spróbuj rozkochać ją w sobie, zostać jej powiernikiem...

— Czyż pan przypuszcza, panie Gaucherot, że przyznałaby mi się do popełnionej kradzieży...?

— Dlaczego nie? Miłość jest bardziej jeszcze gadatliwą, niż ślepą. Nie żądam od ciebie kategorycznie zresztą, abyś odebrał jej naszyjnik; postaraj się raczej skłonić ją do odesłania go pani Santa-Anna, która odwdzięczy ci się za tę przysługę sumą pięciu tysięcy franków; ręczę ci za nie. Spełnisz przytem dobry uczynek, odwołując pannę Maritzę od upierania się przy swym nieczym postępku.

— Sprawa drażliwa, panie pryncypale! Pozwoli mi pan pomyśleć nad tem? Dziś wieczorem dam panu odpowiedź.

— Zgoda. Pewien jestem przychylny.

Ledwie znalazłem się za progiem gabinetu pana Gaucherot, już byłem w duszy zdecydowany podjąć się osobliwej misji,

Spotkałem ją w lesie, ciągnącym się tuż za wioską Lyons-la-Forêt, poznałem Maritzę natychmiast. Szła z głową odkrytą, nawijając psa. A że przed chwilą widziałem



dużego brytana, goniącego stado jeleni; ofiarowałem jej swoją pomoc, przedstawivszy się jako aplikant adwokacki z miasta Menesqueville na urlopie.

W trzy dni potem zakochałem się w niej po uszy.

Domek Maritzy leżał na końcu wioski, o kilkanaście kroków od lasu. Mieszkała w nim samotnie. Prosiłem ją kilkakrotnie o pozwolenie zwiedzenia skromnej tej willi, pełnej, jak mówią, pamiątek po zmarłym ojcu-rzeźbiarzu. Daremnie jednak. Maritza wymawiała się stale obawą skandalicznych plotek, które bytność młodego człowieka u niej mogłaby wywołać w sąsiedztwie.

Pewnego wieczora jednakże uległa mym bardziej natęczywym, niż zwykłe naleganiom.

Dlaczego Maritza oddała mi się tego wieczora?... Dlaczego, przy rozstaniu spojrzawszy mi prosto w oczy, rzekła zniemacka:

— Teraz możesz szukać u mnie klejnotu pani Santa-Anna... Poznałam cię odrazu i domyśliłam się fortelu. Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego podjąłeś się tej misji?

Stropiony mocno, przyznałem się jej do wszystkiego; do nagrody nawet, obiecanej

mi w imieniu pani Santa-Anna przez pana Gaucherot za zdradzenie jej.

— Srebrniki Judasza!... — szepnęła z gorzkim uśmiechem na ustach.

— Nie znałem cię, Maritzo! — tłumaczyłem się zmieszany.

— A teraz, skoro mnie znasz trochę, czy uważasz mnie za złodziejkę?

— Nie chcę zastanawiać się nad tem, majdroższa!

— Gdybyś był pewnym jednak, że ukradłam naszyjnik?... —

— Kochałbym cię mimo to, Maritzo!

— Możesz przypuścić zatem, że dopuściłam się kradzieży...?

Dlaczego zawałałem się przez jedno okamgnienie, nim odpowiedziałem: „Nie!“?

Maritza odwróciła oczy. Ze łzami błagałem ją o przebaczenie. Położyła mi łagodnie rękę na ustach, mówiąc:

— Dostyć już... dostyć! Mówmy o czem innym.

— — — — —

Nazajutrz z rana, obudziwszy się w swym numerze hotelowym, ubrałem się szybko i z niewytłumaczonym niepokojem pośpieszyłem na stałe miejsce moich rannych schadzek z Maritza, przy rołku ulicy Chêne-Tordu. Przychodziła zwykle około godziny dziewiętej. Tego dnia wszakże, czekałem jeszcze na nią, gdy dziesiąta wydzwoniła na wieży kościelnej, kwadrans na jedenastą, wpół do jedenastej potem. Nie panując nad sobą z niecierpliwości i zdenerwowania udałem się na spotkanie kochanej dziewczyny. Doszedłszy do samego jej domku, ze zdumieniem przekonałem się, że furtka ogrodowa była na klucz zamknięta, ckiemnice zaś spuszczone.

Na progu sąsiedniego domostwa ukazała się niemłoda kobieta, pytając mnie, czy czekam na „panienkę“?

Dowiedziałem się od niej, że Maritza wyjechała o godzinie siódmej z rana karetką pocztową. Tym jej magłym i niezrozumiałym dla mnie krokiem oszołomiony, powlokłem się, niemal bezwiednie, ku staremu, kamiennemu mostowi, przerzuczonemu przez strumień, gdzie, wracając z naszych spacerów, zwykliśmy z Maritza siadywać na poręczy. Teraz... byłem tu sam, z sercem zbitałem... i bezmyślnym wzrokiem przyglądałem się wodzie strumienia, tak przezroczystej, że widać było pstrągi, bystro mknące pod łukami mostu.

Nagle błyszczący przedmiot na kamienistym dnie przykuł moją uwagę. Zanurzywszy rękę w wodę, wydobyłem z niej klejnot, w którym wnet poznałem naszyjnik pani Santa-Anna...

Dlaczego Maritza rzuciła go przed wyjazdem do strumienia...?

Dlaczego wykradła go ze szkatułki pani Santa-Anna...?

Ach! Czyż całe życie nasze nie jest jednym wielkim „Dlaczego?“...

— — — — —
Odesłałem znalezione w strumieniu klejnot panu Gaucherot, zawiadamiając go jednocześnie, aby nie liczył nadal na mnie.

Tum. Jotsaw.



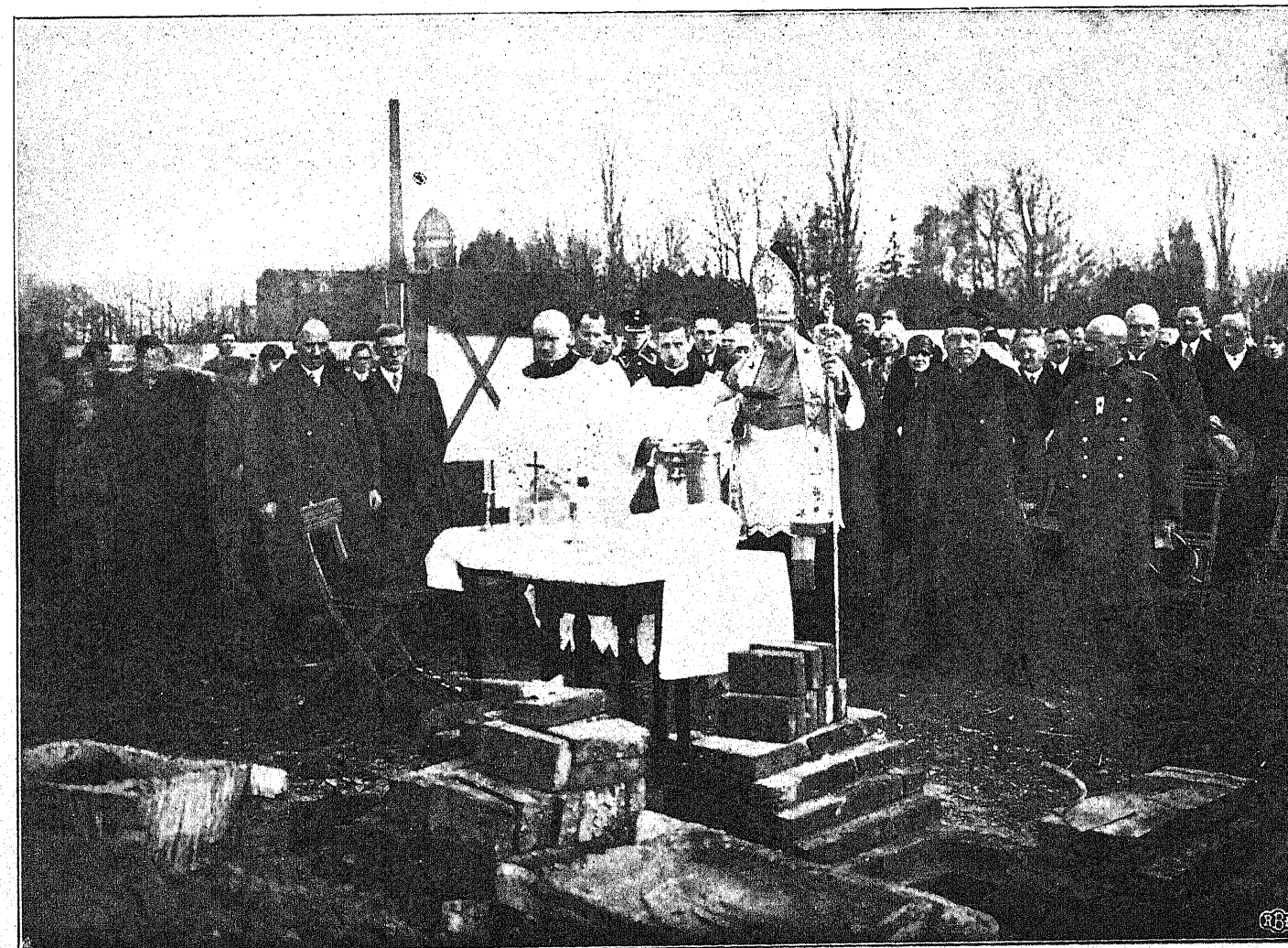
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, dnia 5 maja 1929 roku.

Nr. 18.

Dziesięciolecie Polskiego Czerwonego Krzyża w Łodzi.



W dniu 28 kwietnia r. b. Polski Czerwony Krzyż w Łodzi, placówka wybitnie humanitarna święciła podniosłe 10-letnią rocznicę swego istnienia i pracy samarytańskiej. W uroczystościach tych wzięły udział wszystkie stowarzyszenia społeczne, organizacje zawodowe, związki i korporacje. Celem trwałego uczczenia swej rocznicy Polski Czerwony Krzyż zdecydował upamiętnić tę chwilę trwałym pomnikiem, jakim będzie potężny szpital, który wybudowany zostanie w Łodzi w niedalekiej przyszłości. Z tej okazji w dniu rocznicy odbyło się poświęcenie i założenie kamienia węgielnego pod budowę na szeroka skalę zakrojonego szpitala. Aktu poświęcenia dokonał, jak widzimy powyżej, J. E. ks. biskup dr. Wincenty Tymieniecki.

Fot. A. Mayer.